Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VI WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1931 R. Nr 12

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: Ks. St. SKIERSKI
ADRES REDAKCJI:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4. Tel. 338-32.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20. Tel. 646-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. — *S* — Pokój na ziemi (wstępny) 185
2. Wiersz. Cicha noc 186
3. *Ks. Prof. K. Serini.* — Przełom życia duchowego (dokończenie). 187
4. *P. Hulka-Laskowski.* — Polska współczesna i ludzie tratwy 189
5. *Romuald Balawelder.* Duch Północy (d. c.) . . . 192
6. *Fr. Rosica.* — Dookoła niezbędnej ustawy 195
7. *T. Gruda.* — Chwile i ludzie 197
8. *W. Tarcza.* — Patrjotyzm 199
9. Wiadomości z Kościoła i o Kościele. 199
10. Porządek nabożeństw. Ofiary. 200

ROK VI WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1931 R. Nr 12

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

POKÓJ NA ZIEMI.

Ewang. Łukasza 2 14: „Chwała na wysokościach Bogu, na ziemi pokój, w ludziach upodobanie.

Zbliża się Święto pamiątki Narodzenia Pańskiego. Gdy w dzień Wigilijny pierwsza gwiazda ukaże się na niebie będzie to chwila, przypominająca światu, że przed wiekami narodził się w Betleemie Ten, który przyszedł na świat, aby przynieść ze sobą pokój na ziemi! Pokój! Ludzkość dzisiejsza nie zna pokoju, choć tęskni do niego i pragnie go za wszelką cenę zdobyć i utrzymać. Tragedja ostatniej wojny światowej nauczyła ludzkość oceniać należycie całą grozę nieszczęść i klęsk, jakie zakłócenie pokoju między narodami i zbrojne starcie między państwami na świat cały sprowadzić mogą. Zrozumiałym jest przeto ten dzisiejszy pacyfizm setek miljonów, pragnący „robić" pokój, nawet wbrew poczuciu sprawiedliwości i postulatom zdrowego rozsądku.

Przy całem tem „robieniu" pokoju jasnem jest dla wszystkich, że go w stosunkach międzypaństwowych i międzynarodowych brak, że go niema i w stosunkach społecznych oddzielnych krajów i w stosunku człowieka do człowieka. Życie ludzkości układa się dzisiaj w tak tragiczny splot sprzeczności wszelkiego rodzaju, przeciwieństw klasowych i narodowościowych, że przedstawia ono smutny nad wyraz obraz chaosu i walki wszystkich ze wszystkimi. Gdy zwolennicy pacyfikacji świata zjeżdżają się na kongresy pokojowe, obrady ich kończą się ogólną kłótnią a nawet bójką. Z jednej strony widzimy niesłychany postęp techniki i wiedzy ludzkiej, wytwarzający niezmierne bogactwa, a o miedzę sąsiaduje z niemi nędza i głód miljonów bezrobotnych i niemogących pracą zapewnić sobie nie już dobrobytu, ale kawałka chleba nawet. Spółżycie społeczeństw zaczyna wracać do form dzikiego średniowiecza, jego ciemnoty i nałogów. Oczywiście, że rodzi to w duszy ludzkiej zwątpienie, niezadowolenie a nawet rozpacz, zabija wiarę w jaśniejszą przyszłość, wobec czego o prawdziwym pokoju mowy być nie może.

Zbiorowy człowiek dzisiejszy jest chory, przygnębiony nie umie się cieszyć prawdziwie, brak mu równowagi ducha i wewnętrznej mocy i oparcia, bo brak mu wiary. Ona jedynie uzdrowić

go może, ona przyprowadza go bowiem do tego, który jako niebiański lekarz przyszedł na świat, aby leczyć chorych, szukać i zbawić, co było zgubione.

Chrystus Pan, ono dzieciątko w żłobku Betleemskim, przychodzi do nas, powodowany najczystszą i najświętszą miłością. Miłością ku nam grzesznym pała jego serce, miłość Boga i miłość bliźniego pragnie on zapalić w sercu każdego z nas, a kto w wierze do Niego przychodzi, w tego sercu miłość ta jasnym płomieniem palić się poczyna, i staje się w człowieku wielka przemiana — niepokój, niezadowolenie, rozpacz i zwątpienie ustępują miejsca cichości, łagodności i nadziei. Wtedy po burzy zwątpień następuje w duszy człowieka cisza pokoju z Bogiem i rodzi się pragnienie pokoju z bliźnim i gotowość poświęcenia swego „ja" dla ugruntowania i zachowania powszechnego pokoju na ziemi między ludźmi.

Gdy cała ludzkość dzisiejsza uzna tę prawdę nie tylko w teorji ale i w praktyce życia codziennego, znajdzie lekarstwo na śmiertelną niemoc swoją i uzdrowiona zawtóruje z głębi duszy swej onej pieśni niebiańskiej chóru anielskiego: „chwała na wysokościach Bogu, na ziemi pokój, w ludziach upodobanie".

Niechaj każdy z nas w dzisiejszych ciężkich czasach okaże gotowość uznania tej prawdy i gotowość zastosowania się do niej, a wówczas święta radość, z Boga zrodzona, każe nam zapomnieć o trudnych warunkach bytowania naszego i uzdolni nas do niesienia pokoju i zachowania pokoju ze wszystkimi, wówczas też powszechność tej gotowości sprowadzi prawdziwą wiosnę ludów i stanie się naprawdę i na zawsze pokój na ziemi! — S —

CICHA NOC.

Cicha noc, cicha, święta,
Ziemia cała snem objęta,
A dzieciątka niebiańskiego
Józef, Marja tylko strzegą.
Dziecię, cicho nam śnij!
Dziecię, cicho nam śnij!

W cichą noc, cichą, świętą
Jakąż radość niepojętą
Anioł światu dziś zwiastuje:
Pan niebiosów sam zstępuje.
„Alleluja" brzmi!
„Alleluja" brzmi!

Cicha noc, cicha, święta.
Boże dziecię, Twe oczęta
Jakąż miłość opromienia!
Nastał nam dzień wybawienia:
Zbawca zstąpił na świat!
Zbawca zstąpił na świat!

I. Mohr. Tłum. K. T

Wszystkim Szanownym czytelnikom i przyjaciołom „Jednoty" śle serdeczne życzenia błogosławionych Świąt Narodzenia Pańskiego i pomyślnego Nowego Roku.

Redakcja.

Ks. Prof. K. Serini.

PRZEŁOM ŻYCIA DUCHOWEGO A TEOLOGJA PRZEŁOMU.

(Dokończenie).

10. PRZEŁOM W TEOLOGJI.

Dwie publikacje, które nabrały wszechświatowego rozgłosu, charakteryzują dokonany przełom i ze swej strony wpłynęły na jego pogłębienie — są to Otto „Das Heilige" i Bartha „Römerbrief". Nie chcę przez to pomniejszać wartości innych publikacyj lub odmawiać znaczenia pracy innych teologów, mniemam jednak, że co do wpływu swego na szerokie warstwy religijno-teologiczne nie dorównują wymienianym dwom dziełom. Są one w swym religijnym i teologicznym radykaliźmie rękawicą, rzuconą teologji dotychczasowej.

Otto wbrew opinji teologicznej, skłaniającej się ku imanentyzmowi, wyraźnie przeszedł na stronę absolutnego transcendentyzmu i podkreślił, że religja nie może istnieć bez Boga — naturalnie transcendentnego. Transcendentyzm ten polega na stwierdzeniu, że Bóg przerasta wszelkie nasze o Nim mniemania, jest więc uosobieniem zupełnej inszości. Stosowane przez nas kategorje metafizyczne i moralne nie mogą wobec tego być odniesione do Boga, który jest irracjonalny. Dlatego i nasze sądy o Bogu, jego stosunku do świata i człowieka nie mogą być pozbawione paradoksalności. Niezbadany tajemniczy Bóg budzi w człowieku lęk paniczny, lecz Jego głębia pociąga w sposób nieprzezwyciężony (fascinans).

Przeciągnął więc Otto wyraźną linję demarkacyjną między przeciętnem pojmowaniem Boga obozu ortodoksji lub liberalizmu a między nowem Jego ujęciem.

Barth i cały kierunek teologiczny, nazywany teologją djalektyczną, teologją radykalną, teologją kryzysu, nawiązuje do twierdzeń Otto, lecz świadomie posuwa się poza wytknięte przez niego granice, usiłując dać całość pewnej koncepcji teologicznej.

Wychodzi Barth z założenia, że wszelkie twierdzenia o odczuwaniu Boga w ludzkiem sercu, o wartości poznawczej doznań religijnych, a wreszcie nawet o religji są z gruntu błędne, ponieważ w gruncie rzeczy nie wyprowadzają człowieka poza wąski obręb człowieczeństwa; są niebezpieczne, mimowoli bowiem prowadzą do mniemania „eritis sicut Deus". Bóg nie jest dla człowieka pod żadnym względem i w żaden sposób dostępny. Deus absconditus. Na zawsze musiałaby istnieć między Bogiem a człowiekiem przepaść, gdyby Bóg nie przemówił, objawiając się. Objawienie doskonałe jest spełnione w Chrystusie, który wobec tego jest Słowem. Poza tem Słowem niemasz i nie będzie objawienia doskonalszego, zupełniejszego, więc jest On objawieniem absolutnem. Objawienie Boże znalazło swój wyraz w Piśmie Świętem, przez które Bóg przemawia do człowieka. Słowo Boże jest przez człowieka słyszane, budzi w nim wiarę, która w swej istocie jest całkowitem przyswojeniem Słowa i staje się dzięki temu podstawą naszych twierdzeń, fundamentem życia, normą jedyną teologji. Teologja winna bezwzględnie zerwać z antropocentryzmem, chrystocentryzmem, które sprowadzają człowieka do siebie samego, a stanąć bezwzględnie na punkcie widzenia teocentryzmu. Bóg jest jedyną istotną rzeczywistością, z której wszystkie inne biorą swój początek i swe trwanie. Świat ludzki zerwał zupełnie z Bogiem i jest bezwzględnie zły. Wszystkie twory pracy i zabiegów ludzkich stoją pod wyrokiem gniewu Bożego. W swój upadek wciągnął człowiek całość stworzenia, które również podlega gniewowi Bożemu. Żadna droga nie prowadzi od człowieka do zbawienia, jedynie w gniewie występująca łaska umożliwia i dostarcza zbawienie. Śmierć Chrystusa, Syna Bożego, jest wyrokiem potępienia na grzeszną ludzkość, jednocześnie dowodem łaski Bożej, ratującej ludzkość z toni upadku. Jedynie na tej łasce musi się oprzeć usprawiedliwienie i poświęcenie człowieka. Nowe życie w Bogu jest tylko wyrazem mocy łaski Bożej. Urzeczywistnienie Królestwa Bożego zostanie dokonane nie przez wysiłek ludzki, lecz przez przyjście powtórne Chrystusa. Kościoły, wskazując błędną drogę zbawienia, stoją pod gniewem Bożym, zawiniły bowiem ciężko wobec Boga i ludzkości. Jedynym ratunkiem jest nawrót do Słowa Bożego, które winno być podstawą, treścią i jedynem zadaniem pracy kościelnej.

Z kilku tych krótkich rysów, charakteryzujących teologję Bartha i jego zwolenników, widać ile radykalizmu religijnego i teologicznego skupiło się w duszach młodszego pokolenia teologicznego, lecz jednocześnie widać, jakim płomieniem bucha entuzjazm religijny. Nie dziwimy się dlatego wpływowi, jaki wywiera Barth nie tylko na teologów, lecz stopniowo na coraz szersze sfery.

Byłoby błędem i niesprawiedliwością mniemać, że poza szkołą Bartha ustała twórcza praca teologiczna, a sprowadziła się do starczego przeżuwania resztek ortodoksji lub modernizmu. Na wszystkich polach pracy religijnej, kościel-

nej i teologicznej powiał świeży wiatr — zerwać ostatecznie z naleciałościami XIX wieku i zwrócić się do biblijnego i reformatorskiego realizmu. Mianem neoreformacji chrzczą nowe prądy w kościele i teologji. Oby się nadzieje rychło ziściły.

11. ROZWÓJ ŻYCIA DUCHOWEGO W POLSCE I POŁOŻENIE NASZEGO KOŚCIOŁA W OKRESIE PRZEŁOMU.

Rozważania kryzysowe wtedy stracą posmak czczej akademickości, jeżeli będą górowały w zastosowaniu ich wyników do naszych stosunków, naszego położenia. A tu nasuwa się dosyć oryginalne spostrzeżenie, że Kościół nasz (sc. ewang. augsburski) i panujące w nim ruchy stoją poza obrębem polskiego życia duchowego, lub tylko ulega jego wpływom w bardzo nieznacznym stopniu. Stwierdzam fakt, nie wchodząc zupełnie w jego ocenę, przypuszczać jednak należy, że stosunki zmienią się pod tym względem, należy więc poznać dzieje ostatnie życia duchowego w Polsce, aby się przy ocenie położenia i w pracy ustrzec błędów.

O Polskę duchową walczyły w ostatnim okresie niewoli Wschód i Zachód, własna bowiem linja rozwojowa, wyraźnie występująca w pierwszej połowie XIX stulecia, załamała się pod wpływem klęski powstania styczniowego. Romantyzm polski dogorywał a nawet zamarł, a z powstałej próżni zamierzał skorzystać Wschód, aby polskiemu życiu duchowemu nadać swą treść. Zbytnio się jednak różnią obie kultury, aby mógł się spokojnie odbyć proces asymilacji, więc też usiłowania Rosji nie odniosły prawie żadnego istotnego sukcesu. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, gdy zwrócimy uwagę na wpływy zachodnie.

Ideologja ostatniego powstania załamała się, jednocześnie całe społeczeństwo polskie zostało porwane przez wir powstającego kapitalizmu burżuazyjnego począwszy od warstwy, która w dotychczasowych dziejach politycznych Polski, a tem mniej w życiu duchowem, żadnego nie brała udziału, mianowicie liczna warstwa włościańska, a kończąc na szlachcie, wyrzuconej ze skonfiskowanych majątków.

Nic dziwnego, że ideologja burżuazji zachodnio - europejskiej zaczęła przenikać do Polski i zyskiwać zwolenników wśród przodujących umysłów aż nadała polskiemu życiu duchowemu swe piętno, więcej nawet można powiedzieć — przeistoczyła je na swą modłę. Poczyna się okres polskiego pozytywizmu, zwanego też warszawskim, ponieważ tutaj rozwinął się on najbardziej. Cechą jego charakterystyczną jest zerwanie z ideologją powstaniową i rozpoczęcie pracy nad ludem, w celu uspołecznienia go, włączenia do organizmu narodowego, dlatego jest okres pozytywizmu jednocześnie okresem t. zw. pracy organicznej. Posiada on wszystkie cechy, stwierdzone u jego wzoru zachodniego, lecz był pozbawiony ostrości, wyrazistości konturów, ponieważ romantyzm, pomimo całej walki z nim, nie przestał wywierać swego wpływu. Za dowód niechaj wystarczy osoba i twórczość Prusa-Głowackiego.

W osiemdziesiątych latach zaczynają pod wpływem młodzieży kresowej, studjującej na wyższych uczelniach rosyjskich, przenikać do Polski prądy opozycji socjalistycznej w jej zabarwieniu rosyjskiem lub t. zw. narodniczestwo — ludowość, nawiązująca do rodzinnego życia włościaństwa.

Krótki był żywot pozytywizmu polskiego; już po 20 latach swego panowania musiał ustąpić swą władzę nad umysłami i sercami nowemu prądowi, który również powstał pod wpływem Zachodu, jednak stanął zdecydowanie na gruncie ciągłości polskiego życia duchowego. Jest to neoromantyzm lub inaczej zwana młoda Polska, stojąca w wyraźnej opozycji do pozytywizmu i jego satelitów. U wybitnych przedstawicieli tego kierunku, jak Wyspiański, Przybyszewski, a nawet u Żeromskiego przebija nuta metafizyki; jest to wiara w wyższy moralny porządek, walczący ze światem ludzkiego upadku, skąd tylko krok jeden jest od wiary religijnej Kasprowicza.

Niedola narodu zmuszała zajmować się przedewszystkiem zagadnieniami społecznemi i politycznemi, baczyć na zagadnienia gospodarcze i finansowe — wszystkie traktowane z punktu widzenia możliwości odzyskania niepodległości. Wojna przyniosła urzeczywistnienie nadziei, w stosunku więc do Polski spełniła swe zadanie. Jakżeż przedstawia się życie duchowe Polski w pierwszem dziesięcioleciu jej ponownie niepodległego bytu państwowego?

Narazie zapanował chaos — część społeczeństwa dała posłuch teorjom bolszewickim, druga żyje dla zadań lub radości chwili bieżącej, trzecia zaczyna powoli wykuwać nowe podstawy życia duchowego; okres obecny jest czasem realizmu, o który w duszach młodzieży walczą absolutyzm albo relatywizm. Chwilowo toczy się zaciekły bój między tymi przeciwnikami o duszę polską, a niewiadomo, kto odniesie zwycięstwo.

W okresie, który starałem się pokrótce scharakteryzować, życie religijne polskie płynie korytem kościelności. Wprawdzie pozytywizm doprowadził do tego, że warstwa inteligencji zerwała w duszy z religją, lecz dla względów narodowych zachowywała pozory przywiązania do kościoła katolickiego. Ten, można by go tak nazwać, katolicyzm polityczny zaczyna w ostatnich czasach powoli lecz stale przeistaczać się w religijny i daje ujście i wyraz religijnym pragnieniom znacznej części ludności polskiej. Wobec tego potężnego prądu inne kierunki życia religijnego są nikłe, o ile nie trącają groteską — teozofja polska, posiadająca szereg oddanych sobie niezwykle czynnych adeptek, kościół narodowy, nie mogący wyjść ze stanu wachania, bardzo nieznaczny kościół starokatolicki i wreszcie osławiony marjawityzm.

Zdala od tych nawpół lub całkowicie katolickich prądów, lecz też na uboczu od nurtu duchowego życia polskiego istniał i rozwijał się nasz kościół ewangelicko-augsburski w Polsce. Odbijały się na nim prądy religijnego i teologicznego życia zachodnio-europejskiego, w szczególności niemieckiego. Po okresie racjonalizmu teologicznego, który nie zapuścił zbyt głębokich korzeni, powstał prąd ścisłego konfesjonalizmu. Zapanował on prawie niepodzielnie wśród najliczniejszej warstwy wyznawców, mianowicie wśród ludności włościańskiej; drobnoburżuazja żyje pod względem religijnym jeszcze tradycją wieku oświecenia w jej przychylnej dla Kościoła postaci. Przedstawiciele wielkoburżuazyjnej warstwy zerwali wewnętrznie z kościołem, zachowując względem niego rzeczywiście lub pozornie przychylną neutralność. Wreszcie warstwa robotnicza przeważnie zerwała z kościołem i zaczyna coraz wyraźniej zajmować wobec niego stanowisko wrogie.

Nie ulega wątpliwości, że przywiązanie znacznej części naszych współwyznawców do swego kościoła jest jeszcze silne, lecz jednocześnie trudno będzie zaprzeczyć faktowi, że tętno prawdziwego życia religijnego zamarło, ustępując miejsca kościelnemu formalizmowi. Na tą bolączkę zwróciły uwagę i z tego niedomagania skorzystały sekty, których liczba w naszym kraju dochodzi już do 46. Uprawiają one usilną propagandę i w niektórych naszych Zborach poczyniły duże postępy.

Obok nich jest prądem o znacznej głębi religijnej ruch społecznościowy, który rozszczepił się u nas na dwa kierunki: jeden kościelny, drugi zaś akościelny, o ile gdzie niegdzie nie staje się antykościelnym.

Pewne odosobnienie, w którem płynęło nasze życie kościelne, pozbawiało go soków ożywczych, płynących z centrów ruchu religijnego zachodnio-europejskiego; jednocześnie było ono zyskiem, chroniąc w znacznym stopniu nasz kościół przed szkodliwemi wpływami pozytywistycznemi. Teraz zaczynamy wychodzić coraz więcej zdecydowanie z naszego odosobnienia i mniemam, że zjawiamy się na arenie wszechświatowej z pewnemi walorami, które stanowią nasz skarb. Jest nim nasz religijny, chrześcijański, ewangelicki absolutyzm, jest nim nasze przywiązanie do tych form i tej tradycji, jaką otrzymaliśmy w spadku po naszych przodkach. Od nas, księży — będzie w znacznej mierze zależało, czy prąd neoreformacyjny pogłębi nasze życie religijne, nadając mu iście ewangelicką, zaczerpniętą z wieczności i na niej opartą treść. Gdy przeoczymy decydujący moment przełomu i nie skierujemy ku niemu wszystkich naszych twórczych sił, staniemy się czynnikiem rozkładu i sprowadzimy katastrofę. Jestem jednak przeświadczony, że wspólne nasze usiłowania odnowy życia religijnego nie tylko uchronią nas od katastrofy, lecz przez łaskę Chrystusową staniemy się świadkami zapanowania Ducha Bożego w naszym kościele i rozkwitu w nim Chrystusowego życia religijnego, a przez to i w naszej Ojczyźnie, co daj Boże!

P. HULKA-LASKOWSKI.

POLSKA WSPÓŁCZESNA I LUDZIE TRATWY.

W żadnej ze współczesnych konstytucyj nie znaleźlibyśmy tylu artykułów dotyczących wolności wyznania i wolności sumienia, ile ich jest w konstytucji polskiej z 17 marca roku 1921. Podczas gdy sprawa wolności wyznaniowej w konstytucjach współczesnych traktowana jest zwięźle i mocno postawiona w niewielu słowach, u nas bezpośrednio i pośrednio zajmuje się tą sprawą około dziesiątka artykułów konstytucji marcowej. Artykuły 111, 112, 113, 114, 115, 116 i 120, a częściowo także artykuły 102 i 110 poświęcone są sprawom wyznaniowym i kościelnym. Niestety, chociaż konstytucja ta uchwalona została w „W Imię Boga wszechmogącego", co nadaje każdemu z jej artykułów charakter religijny i co brzmi niby przysięga złożona w obliczu Boga, artykuły mówiące np. o uznaniu nowego lub prawnie dotąd nieuznanego wyznania, oraz o samodzielności i równouprawnieniu wszystkich związków religijnych, pozostały martwą literaturą właśnie dzięki usiłowaniom i domaganiom się tych, którzy formułę wstępną uważali za istotną i niezbędną.

Mamy tu do czynienia z czemś podobnem, jak w konstytucji 3-go maja, której pierwszy artykuł musimy uznać za grube nieporozumienie. Podczas gdy wszystkie konstytucje nowoczesne są aktami, zapewniającemi obywatelom danego państwa wolność, a więc przedewszystkiem wolność sumienia i wyznania, konstytucja 3-go maja pierwszym artykułem swoim przesądza tę wolność w sensie zaprzeczającym. Odmawia ona obywatelowi wyznania katolickiego prawa decydowania o religji, jakąby wyznawać pragnął. Jest tu mowa o religji panującej i o przymusie wyznawania jej. „Art. I. Religja panująca. Religją narodową panującą jest wiara święta rzymsko-katolicka ze wszystkiemi jej prawami. — Przejście od wiary panującej do jakiegokolwiek wyznania jest zabronione pod karami apostazji".

Jest to zapewne jedyny od czasów rewolucji francuskiej przykład proklamowania w konstytucji niewoli ducha. W każdym razie jest to gruby paradoks, nad którym warto zastanowić się głębiej.

Konstytucja 3-go maja zaczynała się od słów: „W Imię Boga w Trójcy świętej jedynego", konstytucja 17-go marca zaczyna się „W Imię Boga Wszechmogącego" i od szeregu frazesów, które już w chwili wypowiadania ich brzmiały nieszczerze, a dzisiaj brzmią coraz fałszywiej. W jakiż to sposób do życia naszego wtargnęło tyle frazeologji religijnej, podczas gdy rzeczywistość nasza jest taka od tej frazeologji odmienna? Konstytucja 3-go maja nie weszła nigdy w życie i odrazu stała się relikwją narodową, konstytucja 17-go marca, uchwalona „W Imię Boga Wszechmogącego", istnieje już od lat 10 przeszło, ale dotąd przyjąć się nie zdołała. Podczas gdy nieuznane dotąd wyznania mniejszościowe patrzyły w artykuły konstytucji niby w gwiazdę przewodnią, życie szło swoim trybem swoistym, omijając te artykuły, a niekiedy szydząc z nich jawnie. Po dziesięciu latach istnienia konstytucji, zapewniającej „W Imię Boga Wszechmogącego" wolność wyznania i sumienia wszystkim obywatelom i mieszkańcom Polski, sytuacja prawno-polityczna jest u nas osobliwa. W ciągu lat krewcy i ciemni obrońcy „prawdziwej" i „jedynozbawczej" wiary bili przy każdej nadarzonej sposobności „sekciarzy" i „odszczepieńców", jak gdyby żadnej konstytucji wogóle nie było i jak gdyby pałka mogła kiedykolwiek stanowić argument w walce ideowej.

Przy bliższem rozejrzeniu się w sytuacji musimy stwierdzić, że mamy tu do czynienia ze stanem wynikającym ze specjalnych przeżyć historycznych narodu polskiego. Wiek XVIII i XIX jest epoką, która na całej przestrzeni naszej ery nie ma sobie równej. Wieki średnie były jedną nieprzerwaną stagnacją, Odrodzenie i Reformacja pociągnęły za sobą z winy imperjalizmu rzymskiego długotrwałe walki i reakcję katolicką, która miała narody katolickie odrzucić daleko wstecz z drogi postępu i rozwoju, i dopiero wiek XVIII niesie z sobą przemianę trwałą i zasadniczą. Człowiek ośmiela się czuć i myśleć po ludzku, odważa się korzystać ze swego rozumu, głosi szlachetną zasadę równości wszystkich ludzi wobec Boga i wobec prawa, a z założeń tych wysnuwa wnioski praktyczne. Gdy ciemny reakcyjny wiek XVII nakłada kajdany na ducha ludzi nie uznających supremacji Rzymu, gdy dragonady, więzienia i wygnanie mają przekonywać „heretyków" o prawdziwości, dobroci i miłosierdziu kościoła rzymskiego, wiek XVIII staje się wiekiem oświecenia i wyzwolenia. Oświeceni władcy absolutni nie dla względów idealnych, ale dla względów najbardziej praktycznych ogłaszają wolność wyznania i wolność sumienia. Jeszcze się te sprawy nazywa skromnem słowem „tolerancji", ale w gruncie rzeczy jest to już wolność, przeciw której tak ostro występował kościół rzymski. Rewolucja francuska stawia kropkę nad „i". Podczas gdy Józef II mówił jeszcze o szkodliwości wszelkiego gwałtu nad sumieniami oraz o pożyteczności szczerej chrześcijańskiej tolerancji, przyczyniającej się do rozkwitu religji i państwa, w kilka lat po ukazaniu się jego patentu tolerancyjnego deklaracja praw człowieka nie daje zezwolenia na wolne wyznawanie religji, ale mówi, że nikt tej wolności pozbawiony być niemoże. „Wolne sprawowanie obrządków religijnych nie może być zakazane. Potrzeba wyszczególnienia tych praw każe wnioskować o istnieniu despotyzmu lub o świeżej o nim pamięci".

Wszystkie różnorakie zagadnienia polityczno-społeczne, związane z życiem religijnem, jakie przeżyła Europa i Ameryka w wieku XVIII i XIX pozostały Polsce obcemi. Wielki ruch umysłowy, który ożywiał te stulecia i przekształcał społeczeństwa od wewnątrz, do nas docierał w postaci „nowinek" i w postaci ustaw wydawanych przez władze zaborcze. Zagadnienia życia religijnego rozstrzygali u nas zaborcy: Rosja, Austrja, Prusy tworzyły takie lub inne ustawy, a my je mogliśmy tylko przyjmować. Ponieważ te ustawy były zaborcze, przeto odnosiliśmy się do nich zawsze niechętnie. Wielkie zagadnienia życia zbiorowego były dla naszego społeczeństwa rzeczą obcą i obojętną, niekiedy wstrętną do gruntu. Wytworzył się u nas sui generis konserwatyzm. Patrjotyzmu w rozumieniu ogólno-narodowem nie było u nas aż do czasu rozbiorów. Był zawsze patrjotyzm szlachecki, a w czasach reakcji katolickiej był patrjotyzm rzymsko-katolicki. Nawet po upadku Rzeczypospolitej, gdy instynkt narodowy kazał corychlej uwłaszczyć chłopa i uzbroić go jako wolnego obywatela do walki z zaborcami, ogół szlachty ani słyszeć o tem nie chciał. Dla niego Polska o tyle miała znaczenie, o ile dawała mu chłopa i ziemię.

Gdy dziwny ten patrjotyzm przegrał pokolei wszystkie swoje egoistyczne powstania, zrozumiał po niewczasie, że do walki z zaborcami trzeba pociągnąć miljony ludu polskiego. Ale z czem było pójść do tego ludu? Polska była dla niego synonimem pańszczyzny, znienawidzonej do głębi duszy, a co najważniejsza, była dla tego ludu sprawą do gruntu obcą i zupełnie niezrozumiałą. Lud polski nic nie wiedział o swej polskości, lecz wiedział, że jest katolickim. Szlachta, zgrawszy się politycznie na złotej wolności, zagrała na katolicyzmie i do ludu polskiego poszła nie ze słowem o ojczyźnie, ale ze sztandarem Matki Boskiej. Horyzont umysłowy chłopa polskiego wykluczał wszelkie rozumowanie. Katolicyzm był dla niego czemś tak realnem, jak jego własna nędza. Ani przez myśl mu nie przeszło, iż można pytać, dlaczego mu tak każą wierzyć i kto każe mu wierzyć. W tej ślepej wierze była wielka siła. Bankrutom politycznym katolicyzm ludu polskiego niósł nietylko zbawienie wiekuiste, ale i doczesne. Chytry in-

stynkt samozachowawczy, wiążąc szlachtę z ludem, wiązał ją tem mocniej z katolicyzmem.

Rozumowanie było proste: tyle istnieje możliwości zbawienia, ile jest w masach ludowych katolicyzmu. I oto dzieje się w Polsce rzecz zgoła osobliwa: podczas gdy nawet absolutyzm oświecony myślał już o krzewieniu oświaty jako czynnika potęgującego siły społeczeństwa i państwa, szlachta polska jeszcze pod koniec wieku zeszłego troszczyła się jedynie o zakonserwowanie ciemnoty ludu polskiego. Mówiło się, że ludowi trzeba zachować „wiarę świętą", ale gdy magnaci galicyjscy rozgadali się w sejmie lwowskim jeszcze w roku 1887, szydło interesu kastowego wylazło z worka. Przemawiali wtedy między innymi sławetni reakcjoniści Popiele, sekundował im hrabia Stadnicki. Zwalczano namiętnie szkołę ludową jako czynnik mogący podkopać katolicyzm, czyli tę dyscyplinę, która umożliwiała panom wyzyskiwanie chłopa.

„Przymusowość szkoły — wywodził wtedy, pod koniec wieku XIX, reakcyjny J. Popiel — z prawa naturalnego wywieść się nie da.. Dzieje się gwałt prawom rodzicielskim. Społeczeństwo nasze zbyt ubogie, ażeby się obyć w tak długie lata bez pomocy dzieci swoich..." Otóż to! Przymusowość szkoły była zła, bo dzieci razem z rodzicami miały pracować na magnatów. Hrabia Stadnicki sekundował tedy Popielowi: „Wolimy zakładać skromne ochronki pod kierownictwem prostych sióstr służebniczek, niż mieć u siebie szkoły ludowe pospolite, obawiając się trucizny, którą one w dzieciach wiejskich zaszczepiają. Dziecko ludu pod wpływem szkoły traci prostotę chłopa, a nie nabywa wiadomości, traci na nieszczęście bardzo często i wiarę. Chcemy, aby lud tak był wychowywany i kształcony, jak my to rozumiemy". Co za swoista dbałość o wiarę ludu i jakie troskliwe zabezpieczanie go przed „trucizną" nauki. Jeszcze głośniej wybuchał Paweł Popiel, istny furjat zacofania: „Przymus szkolny to potworność! Ustawa, która ustawowo zmusza człowieka do kształcenia się, prowadzi do socjalizmu. Szkoła powinna być wyznaniowa i ograniczona w nauce. Nauki przyrodnicze i literatura podkopują spokój ludzkości, wydzierają łaskę Boga i żywot wieczny. Nauczyciel duchowny lepszy będzie, niż świecki. W seminarjach nauczycielskich powinni kandydatów mniej uczyć. Kandydat z miernem wykształceniem będzie najlepszym nauczycielem". Dzisiaj jest zasadniczo tak samo: partje zachowawcze nietylko że nie tępią ciemnoty, ale ją starannie konserwują, bo dynamika ciemnoty jest jeszcze ciągle pierwszorzędnym czynnikiem władzy partyjnictwa. Podczas każdych wyborów wszyscy licytują się w prawowierności katolickiej, chociaż już Mickiewicz przestrzegał lud, aby się miał na baczności przed tymi, którzy podczas wyborów mówią mu o religji.

Wiele rzeczy rozumiemy, oczywiście. Po zlikwidowaniu Rzeczypospolitej przez zaborców, przypadek uczynił z katolicyzmu paladjum narodowe. Mówimy przypadek, bo gdyby Prusacy nie byli w swej większości ewangelikami i gdyby Rosjanie nie byli prawosławnymi, to katolicyzm jako przeciwstawienie nie byłby mógł być brany w rachubę. Grał tu także niemałą rolę stan umysłowy ludu polskiego, który nie wychowany narodowo, nie widział jeszcze Rosjan i Prusaków, ale dostrzegał jedynie protestantów i prawosławnych. Jego stosunek do zaborców był nie geograficzno-narodowy, ale wyłącznie katechizmowy. I ten właśnie banalny przypadek, że główni zaborcy nie należeli do tego samego kościoła, co zabrani, pozwolił rozdąć znaczenie katolicyzmu ponad wszelką miarę i logikę. W Austrji, gdzie zaborcą był katolik, tego czynnika brakło i lud polski łatwo dał się poprowadzić katolickiemu cesarzowi przeciwko katolickiej szlachcie polskiej.

Po rozbiorach Polski katolicyzm stał się czemś w rodzaju tratwy dla rozbitków. Trzymano się jej kurczowo obyczajem rozbitków i nie zastanawiano się nad jej pochodzeniem i własnościami jej budowy. Miała donieść rozbitków do zbawczego brzegu, albo utrzymać ich na powierzchni wzburzonych fal do chwili, gdy przyjdzie wybawienie. Tak ustosunkowano się do katolicyzmu. Ten nastrój rozbitkowy trwa. Wszystkie konieczne i zbawienne przemiany świata traktujemy jako zjawisko groźne dla naszej tratwy katolickiej. Mało kto pomyśli, że trzeba pomyśleć nie o konserwowaniu tratwy, ale o budowaniu wielkich statków pancernych, którym fale nie szkodzą, ale służą. „Niepodobna być zarazem dobrym katolikiem i dobrym Polakiem"— powiedział Goszczyński. Możemy dzisiaj dodać, że niepodobna budować wielkiego państwa i przyszłości narodu, gdy się siedzi na tratwie i liczy się na łaskę fal. Bobrzyński powiedział, iż upadliśmy dlatego, iż zdawało się nam, że my jedni możemy lekceważyć prawa rządzące życiem narodów. Gdy powstaje sprawa zmiany konstytucji czy ustalenia prawa małżeńskiego w duchu nowoczesnych wymagań, rodzi się w ludziach tratwy istna panika. A nasza tratwa? Otóż z tratewki wyznaniowego ekskluzywizmu prosimy przesiąść się na pancernik współczesnego cywilizowanego państwa. Nie możemy przecie zawracać do epoki saskiej, aby przeżywać jeszcze raz to wszystko, co Europa z naszej winy przeżyła bez nas.

Na nawroty niema casu. Prawa kanoniczne wymagają sankcyj i korpusu żandarmów. Państwo współczesne szuka oparcia nie w sankcjach karnych, ale w zbiorowej woli swoich obywateli. Otóż widzimy zawsze jedno, zarówno w Hiszpanji, jak i w Polsce: nie obywatel-katolik zwalcza namiętnie nowoczesność, ale kler. U nas walka z ustawą małżeńską to biskupi i ks. Choromański. Światły ogół katolicki milczy delikatnie. Oczywiście, będzie musiał przemówić. Naszym ideałem nie może być tratwa ekskluzywizmu. Polska ma przed sobą możliwości

olbrzymie, ale tylko jako państwo nawskroś nowoczesne. Ludzie tratwy nie mogą czynić z niej narzędzia swego panowania, bo jeśli zechcą utrzymać ją na swej tratwie to i statek i ładunek mogą zatonąć. Historja dała nam lekcję. Nie gardźmy nią-

ROMUALD BALAWELDER.

DUSZA PÓŁNOCY.

(Z podróży „Polonią" do Danji, na fjordy Norwegji i Nordkap).
(Ciąg dalszy).

Jak w Rzymie być i nie uradować oczu widokiem pysznych pałaców Watykanu, w Londynie nie urządzić pielgrzymki do skromnego domu, w którym mieszkał Gandhi, w Paryżu nie spojrzeć dumnie na stolicę kultury z wieży Eiffel, w Berlinie nie przejść się wśród spiżowych trupów na Siegesallee, w Warszawie czy Wiedniu nie podnieść duszy przykładem obradującego parlamentu — tak wstydem byłoby znaleść się w Kopenhadze i nie zawieruszyć się w objęciach Tivoli.

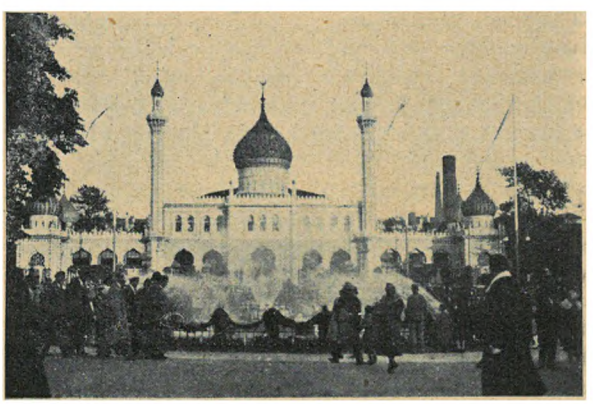

KOPENHAGA — TIVOLI.

Wesołe to miasteczko, jedno z najsłynniejszych, największych i najstarszych w Europie (1843 r.) zdala już nęci brylantami, rubinami, szmaragdami, opalami i t. p. elektrycznych lampek, wprawionych gęsto w klejnoty cacanych budynków i urządzeń rozrywkowych.

Ku tym bajecznie kolorowym wspaniałościom suną nieprzerwanym ciągiem tłumy Kopenhażan. Stosy rowerów zalegają sąsiednie place. Przeciskam się i ja w stronę kasy u wejścia, uradowany nie tyle nadzieją rozrywek, co możnością zobaczenia spokojnych, solidnych Duńczyków w szaleństwie zabawy.

Jest właśnie rewja. Sznur nagusieńkich prawie dziewczątek przewija się przez deski sceny pod gołem niebem. Zachęcająco podnoszą się miarowo zgrabne nogi i ręce.

Patrzę to na scenę, to na widzów. Poważni obywatele wytrzeszczają z ciekawością oczy — a usta krasi pobłażliwy uśmiech. Sądzę, że taksamo spozierają na krowy i nierogaciznę. Tłoku niema. Komu Bóg poskąpił wysokiego wzrostu i kogo los zepchnął niegościnnie na tyły, otrzymuje periskop, który czarną, prostokątną głową wyrasta nad poziom tłumu i przenosi ponętne obrazy na niziny oczu widza.

Przeciskamy się dalej. Teatr pantomin, Variété, sale koncertowe, dancingi. Jaskinie djabelskie, groty anielskie, osrebrzone cudownemi zaiste wodospadami, od spodu oświetlonymi, kawałek Wenecji: gondole, cichy plusk wody, rozmarzenie, westchnienia. I tysiące rozrywek, które w każdym Luna parku ludzi podnoszą (huśtawki), zawracają im głowy (karuzele) i t. p.

Mrowie ludzkie jest spokojne, ciche, w błogiej pogodzie pogrążone. Są rolnicy, robotnicy, inteligenci. Jakiś młodzian puszcza się na zaczepkę młodej panienki, — i Kopenhaga ma swoich Donżuanów, — ten i ów głośniejsze wyrzuci słowo. „Wykroczenia" te jednak są także opanowane. Wszystko jest i w Tivoli solidne i opanowane. Zaiste miłego doznaje się uczucia, gdy się tak błądzi wśród tłumu z przeświadczeniem, że obca ręka nie znajdzie się nagle w mojej kieszeni, że gęba pijacka nie obryzga twarzy wątpliwej czystości zawartością, że nóż rzezimieszka nie szuka miejsca miękkiego pomiędzy mojemi żebrami. Błogosławiona bądź, duńska kulturo, choć śmiać się nie umiesz tak na całe gardło i szaleć pijaną radością.

***

O godz. 12 w nocy nastąpił odjazd z Kopenhagi. Oddalały się zwolna rozflirtowane oczki elektrycznych świateł poważnej stolicy Danji. Witały nas światła inne, te w cieśninie rozrzucone jak gwiazdki nadziei dla zanurzonych w ciemną szarość letniej nocy i morza płynną ponurość okrętów. Tajemniczo przesuwają się widma drobnych statków, liczne, bardzo liczne mimo spóźnionej pory. Iluminacja obu wybrzeży: duńskiego i szwedzkiego — nie opuszcza nas przez całą drogę po najwęższej części cieśniny t. zw. Oeresundzie, aż olśniewa z całą wspaniałością między Helsingörem a Hälsingborgiem.

— Patrzcie, patrzcie! — nawoływali się wzajemnie pasażerowie — to Helsingör, słynny z zamku Hamleta!

— A tam olbrzymie statki — promy, przewożące całe pociągi z Danji do Szwecji.

Było już dużo po północy, a Polończycy nie kwapili się do snu. Spokojne, niby staw ciche morze, bujne życie w cieśninie napełniały wszystkich radością i otuchą, że podróż przejdzie bez głębszych wstrząśnień choroby morskiej.

Chłód dokuczał, więc scrhoniłem się do baru I klasy. Tutaj odbywał się istny egzamin piśmienny. Temat oczywiście „O Danji i Duńczykach". „Ściągania" mało, choć nikt nie pilnuje. Ale bez cudzej pomocy też się nie obyło. Najgorzej w kącie pn.-zach. salonu. Pisała korespondencję grupa nauczycielek miejskich.

— Czy Danja większa od Polski?

— Zdaje się, że nie.

— Zaraz. Jakie mamy mocarstwa w Europie? Wyliczanie na palcach.

— Polska na szóstem miejscu. Danji niema. Musi być mniejsza od Polski.

— Polska 9 razy większa, — popisał się profesor, jadący z dużym atlasem i z kilkoma podręcznikami geografji.

— Dziękujemy. — Gwałtowna pisanina.

Taka była ich rozmowa i takie pisanie.

W drugim kącie synek pisze list przy tacie. Pisze i czyta na głos.

— Nareszcie znalazłem się w wymarzonej ojczyźnie Andersena. Tatusiu, kiedy żył Andersen?

— W XIX wieku.

— Żył w XIX w. Pamiętasz, Karolko, jakeś mi czytała jego bajki? Widziałem Duńczyków. Jest ich strasznie dużo. Mówił Tatuś, że 3 razy tyle, co ludzi w Warszawie. — Dobrze, Tatusiu?

— Doskonale.

— Byłem z Tatusiem w kościele. A tam była bibljoteka i ludzie czytali: Tatuś mówił, że to jest kościół luterański i że wszyscy Duńczycy są protestantami.

— Prawie wszyscy — poprawił ojciec.

— Mówił Tatuś, że wszyscy są bardzo mądrzy i mają dużo pieniędzy. Aha! Kupiliśmy dla Ciebie 2 widoczki. Tatuś zjadł sznycel za 3½ kor. To bardzo drogo...

— Dosyć już, dosyć. Idź spać, — zakończył Tatuś.

Dosyć kosztowna lekcja geografji. Ale napewnowno mniej nudna niż w szkole.

***

— Zwiedził pan wszystko w Kopenhadzie?— rzucił inżynier Juljan z wysokości swojego łóżka.

— Zdaje mi się, że wszystko, co najgodniejsze widzenia.

Okazało się w czasie przedsennej rozmowy, że warto było jeszcze zobaczyć katedrę z pięknym portalem, plac „Frue Plads", na którym ustawiono w podkowę kilkadziesiąt posągów sławniejszych profesorów Kopenhaskiego uniwersytetu, no i przedewszystkiem okrągłą wieżę, z której piękna roztacza się panorama na miasto.

— Tam widziałem słynne planetarjum Tycho de Brache. Wieża nie posiada schodów. Po ślimaku Piotr Wielki wjechał końmi na szczyt, — prawił głos z góry.

— Spać! — gwałtowne pukanie w ściankę i głos sąsiadki przerwał rozmowę. Trudno. Wycieczka zbiorowa ma swoje minusy, ale więcej jeszcze plusów. Ileż można się na każdym kroku nauczyć! Umożliwia zwiedzanie przy pomocy dużej ilości głów, oczu, nóg. A, że każdy ma stosy różnych książek i trochę pieniędzy, więc korzystać jest z czego. Ale czas spać. Coś gniecie w bok — co to być może? Jutro zobaczę. Dobranoc!

***

Poranek dn. 20.VII zastał nas jeszcze przy wybrzeżach Danji, w szerokiej cieśninie Kattegat. Oko chętnie zatrzymuje się na rysującej się zdala biało-zielonej linji brzegowej Jutlandji. Nic jednak nie ciągnie, aby „Polonję" zanurzyć w wnętrzności tego półwyspu, przypominającego na mapie kształt raka. Szumna nazwa fjordów wydaje się trochę niewłaściwą. Bo i cóż zobaczysz w Lümfjordzie, Mariager, Hobra czy nawet w najpiękniejszym z nich, Beilefjordzie. Wstążka wody wśród piachów, rumowisk kamiennych, przyziemnych wapieni kredowych, pomalowanych tu i owdzie zielenią lasów bukowych. Nawalone masy bezwładne, potulnie leżące, jak je zimna masa lodowa ułożyła. Zabawka wiatrów, rzek i prądów morskich. Obraz smutnej przyszłości Skandynawji. Początek jej grobu. Wszystko jedno, czy część tego śmiertelnego dołu nosi nazwę pd. Szwecji, Danji, niziny Niemieckiej czy Polskiej. Na trupach dumnych

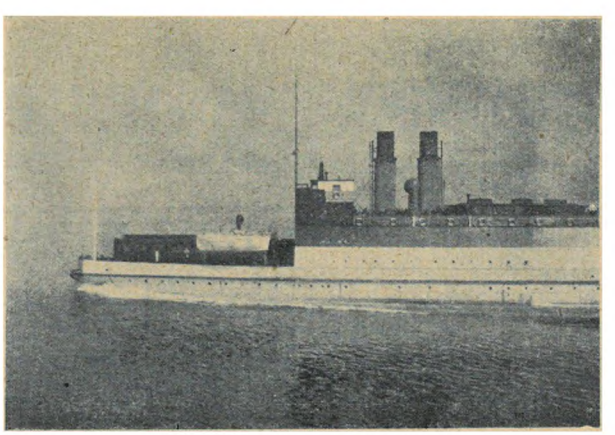

STATEK-PROM DO PRZEWOŻENIA POCIĄGÓW Z DANJI DO SZWECJI.

ongi wierzchołków gór Skandynawskich, resztkach, zniesionych przez wody, mrozy, śniegi, lodowce; na sypkich piachach, błotnistych glinach rozlokowali się ludzie różni. Wszyscy jednak

sieją zboże, ziemniaki sadzą, buraki... Wyciągają z soków umarłego cukier, wódkę, chleb. A przyroda stroi wszystkim ziemię w kwiaty łąk, w lasy.

Hm... Daje to do myślenia. Gdyby cała ziemia była zbiorowiskiem gór niebotycznych, gdyby sięgała szczytów Alp czy Himalajów, a na dołach były jeno morza, nie byłoby na niej miejsca dla człowieka. Człowiek jest to taka istota, która pokarm czerpać musi na dołach. W górę wznosić się może z trudem i na krótko.

Danjo, smutkiem napełniająca serce geologa-filozofa, syna ziemi, jak bujnem jest życie na twoich niskich ziemiach! Dobrze, żem poznał Kopenhagę — kwiat bogactw twoich, że patrzę teraz na bujne życie ziem twoich. Bez poznania ciebie może nie zrozumiałbym należycie krainy fjordów Skandynawskich.

Jesteś piękną, zielenią przyozdobioną bramą do ponurej tajemnicy Norwegji.

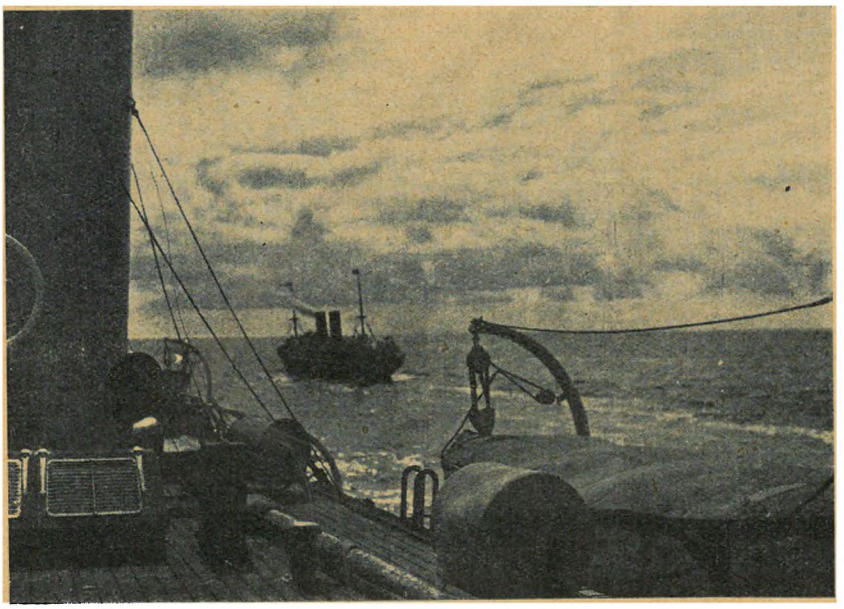

SPOTKANIE „KOŚCIUSZKI".

II.

Spotkanie „Kościuszki". — Burza na morzu. — Pierwsze szkiery i fjordy. — Nieco o położeniu i wielkości Fennoskandji. — Bergen, miasto rybackie. — Bogactwa krainy mórz i turni. — Wycieczka na Flöifjell. — Z dziejów Norwegji.

Zpośród chmur gęstawych, brudnych jak mydliny po praniu robotniczej bielizny, wyłaniał się powoli głęboki błękit nieba. Coś dziwnie uroczystego, podniosłego ma takie odkrywanie czystości i głębokości niebios, gdy płynie się po toni morskiej. Widzisz siebie na środku kuli jasnej, niebieskiej, napełnionej powietrzem, wodą — i twoją własną duszą.

Dusze niektórych pasażerów nastrajały się na ton wysoki. Dotyczyło to przedewszystkiem t. zw. dziobaków [1]). Ci najbardziej serjo odbywali podróż. Wichry, zimna, deszcze nie mogły zniechęcić tych, co chcieli koniecznie zasłużyć na miano „wilków morskich". Trwali na stanowisku wypatrywania wszystkich dziwów ciekawem, natężonem okiem. Nie darowali niczemu.

Oni też pierwsi zobaczyli o godz. 9.30 statek polski „Kościuszko".

— Wraca z Ameryki! Na pokładzie pełno polskich reemigrantów! — posypały się głosy.

Spotkanie polskiego statku pasażerskiego na dalekiej cieśninie podnieciło wszystkich. Wysypał się tłum na pokład. Flagi zniżono do połowy. Syreny dały sygnały powitalne. Orkiestra zagrała hymn narodowy. Czapki uniosły się w górę. „Kościuszko" przesuwał się już obok.

— Cześć! Niech żyje Polska! Witajcie!

— Wiwat Polska! — krzyczały głosy z „Kościuszki".

Miło było spojrzeć na twarze współpasażerów. Entuzjazm, duma, radość! Ten i ów wyciera dyskretnie łzę wzruszenia. P. Natalji drgają powieki i usta.

Ten krótki moment bardziej zbliżył mnie do Polończyków niż długie pogadanki przy suto zastawionych stołach lub na wygodnych leżakach. Czech, który z boku patrzył na uroczystość powitania, podszdł do dr. Wiktora i rzekł z uznaniem:

— Polska Rodzina.

Miał rację poczciwy Czech. To była Polska Rodzina. Im dalej od ojczystej ziemi, tem solidarniejsza, bardziej zżyta. Bez kłótni, złodziejstw, oszukaństw. Gdyby tak zgodnie umiała płynąć cała „Polska" wśród morza nieprzyjaciół!

Ale oto i Skagen, przylądek i najpółnocniejsze miasto Danji. Zdala widać słynne plaże, barwne zabudowania, liczne latarnie morskie oraz statki-latarnie [2]).

— Zauważył pan, że tu nagle zmienia woda barwę? — pyta dr. Antoni.

— Owszem. Jest to znane, opisywane zjawisko.

Nie przyznałem się, że w barwie wody Skagerraku dostrzegłem oczyma wyobraźni ślady krwi. Przesunęły się żywo na ekranie pamięci obrazy strasznej bitwy, największej bitwy mor-

[1]) Znajdujących się na dziobie statku.

[2]) Latarnia morska pływająca — statek specjalnej konstrukcji z wielką latarnią na maszcie, postawiony w oznaczonem miejscu na martwej kotwicy. Spełnia zadanie latarni morskiej. (Zaruski).

skiej w historji świata, która rozegrała się na tych wodach tak niedawno.

Kilkanaście lat temu (31.V — 1.VI 1916) 21 niemieckich olbrzymów morskich i 72 mniejsze jednostki bojowe starły się z 37 angielskiemi wielkimi okrętami wojennymi i 105 mniejszymi 23 okręty ang. (115.000 ton) i 11 okrętów niem. (61.000 ton) zalega dno wód, po których płyniemy. Około 9.000 trupów wyrzuciły fale na duńskie wybrzeża, gdzie jako pamiątka pozostały szeregi grobów.

Skagen zniknął. Danja została za nami. Płyniemy szybko ku wybrzeżom Norwegji. I tylko mewy białe duńskiego morza daleko jeszcze ścigają nas, zanim zastąpią je nowe zastępy mew norweskich. *(D. c. n.).*

FR. ROSIKA.

DOKOŁA NIEZBĘDNEJ USTAWY.

Po ukazaniu się wiadomości o projekcie ustawy prawa małżeńskiego w redakcji Komisji kodyfikacyjnej, zrobił się u nas ruch niemały. Najprzód burzliwie i hałaśliwie wystąpił z szeregiem artykułów ks. Choromański, potem ukazał się list pasterski, który nie wiadomo dlaczego nazywa się orędziem, niby manifest monarchy, potem czytywaliśmy w kurjerkach wiadomości o zebraniach panien służących, na których przemawiały hrabiny, a wreszcie jęły się ukazywać różne artykuły na tematy już nieco oklepane. Głosy są różne, prawie zawsze ostre, nieopanowane, namiętne, czasem wrzaskliwe, ale wszystkie one są uświęcone wspólnym celem utrzymania za wszelką cenę status quo, czyli anarchji ślubnej.

Czytamy więc, że nowa ustawa niezgodna jest z konstytucją, że nie można jej uzgodnić z konkordatem, że jest zamachem na sakrament, na rodzinę, na moralność, na przyszłość narodu. Kardynał Hlond, jak donosi „Kurjer Warszawski" z 29 listopada 1931, wydał „zarządzenie", a w tem osobliwem zarządzeniu znalazły się słowa bardzo dziwne, o tem, że „już napiętnował niesłychany projekt ustawy małżeńskiej", że „Komisja kodyfikacyjna ośmieliła się zlekceważyć nasze uczucia religijne" i t. d. Mówi przy tej sposobności o zwolennikach wyuzdania publicznego, o wyziewach pornograficznych, i na tem tle stawia poważny projekt prawa.

Niejaki ks. dr. Trzeciak wywodzi, że projektowana ustawa polska a odpowiednie prawodawstwo bolszewickie mają wspólne źródło w Talmudzie. Chodzi o to, aby tym Talmudem zdyskredytować projekt ustawy. Ostatnio zaś w „Kurjerze Warszawskim" (6 grudnia 1931) zabiera głos arystokrata małopolski i obszarnik, Witold Czartoryski. Wywodzi on, że ustawa Komisji kodyfikacyjnej jest zamachem na sakrament i zamachem na rodzinę. Argumentuje, że „Roma locuta" i że zatem „causa finita". Rzym przemówił, sprawa skończona. Jak dla kogo oczywiście. Przedewszystkiem dla niego samego i dla tych, którzy nie mają żadnych większych kłopotów. Rzym przemawiał często i mówił dużo. Wyklinał wiedzę, potępiał konstytucje, układał przysięgi antymodernistyczne. Sprawa skończona? Bynajmniej, ale najwyżej nieco skomplikowana i to nie zawsze i nie na długo.

P. Witold Czartoryski twierdzi między innemi: „Oczywiście, że żaden uczciwy człowiek, który zawarł ślub katolicki, nie będzie korzystał z takich ustaw, uderzających w jego wrodzone poczucie prawości i w podstawowe zasady kościoła". A właśnie! Twierdzimy to stale, że prawo w niczem nie przesądza swobody wiernych i żarliwych katolików. Będą mogli brać ślub w kościele katolickim, traktować małżeństwo jako sakrament, a w razie tragicznych powikłań nie rozwodzić się, lecz unieważniać małżeństwo. A jeśli zajdzie taki wypadek, iż tenże uczciwy człowiek spostrzeże pewnego dnia, iż katolicyzm nie jest tem, za co się podaje, że nie czyni zadość wymaganiom sumienia, to z wrodzonem sobie poczuciem prawości nie będzie nikogo oszukiwał, ale z wymagań sumienia wysnuje odpowiednie wnioski. Niema więc powodu do obaw. Niema żadnych zamachów na sakrament, bo sakrament istnieje tylko dla wiernych, i niema zamachu na rodzinę, bo życie społeczeństw, posiadających daleko radykalniejsze ustawy małżeńskie, poucza nas dostatecznie jasno, że rodzina istnieje i kwitnie.

W ten chór głosów klerykalno-arystokratycznych zakradł się nieprzewidziany dysonans. Przemówił ks. Jan Urban, jezuita, i przemówił nad wszelki podziw logicznie, uczciwie, rzeczowo. „Express Poranny" z 6 grudnia 31 streszcza jego artykuł z „Przeglądu Powszechnego". Przyzwyczailiśmy się do wewnętrznych zastrzeżeń wobec jezuitów i dlatego spotyka nas niespodzianka poprostu sensacyjna. Ks. Urban wylicza sposoby walki klerykalnej z ustawą małżeńską, a następnie mówi, czego czynić nie należy.

„Nie należy — wywodzi on — w walce przeciw projektowi argumentować, że jest on sprzeczny z konstytucją, gdyż sprzeczność ta nie zachodzi. Nie należy argumentować, że jest on sprzeczny z konkordatem, gdyż sprzeczność ta jest wątpliwa. Nie należy dalej wysuwać ogólnikowego żądania, by państwowa ustawa małżeńska we wszystkiem zgadzała się z prawem

kanonicznem, można tu bowiem pójść w kierunku pewnego liberalizmu zgodnie ze stosowaną przez kościół tolerancją cywilną. Nie jest więc konieczne walczenie przeciw ślubom cywilnym jako fakultatywnym wobec kościelnych". Tych niewiele słów rozbija w puch całą budowlę scholastyczno-kanoniczną wznoszoną zarówno przez ks. Choromańskiego jak i buskupów, oraz sekundujących im arystokratów. A ks. Urban mówi dalej: „Nie należy powoływać się na argument o „przygniatającej większości katolików" w Polsce. Zapytajmy szczerze siebie, czy gdyby zarządzono plebiscyt w sprawie ustawy małżeńskiej, moglibyśmy liczyć, że za stanowiskiem katolickiem opowiedzą sie wszyscy owi katolicy ze statystyki i paszportu?... Może to zbytni pesymizm, ale obawiam się, że ewentualny plebiscyt lub wybory pod hasłem reformy prawa małżeńskiego mogłyby nam urwać dużo z tych katolików, wykazywanych przez statystykę, a to „dużo" w połączeniu z innowiercami może stanowiłoby już bodaj czy nie większość... Słowem uważałbym za bardziej wskazane pozostawić na boku demokratyczną zasadę, iż mniejszość powinna się dostosować do większości, by snać zasady tej nie obrócono przeciw nam, katolikom".

Oczywiście, ks. Urban nie jest zwolennikiem laicyzacji państwa i społeczeństwa, ale jest rzetelny wobec faktów, inteligentny i odważny, aby zrozumieć, że te metody walki, jakie się stosuje, nie prowadzą do niczego. Wkońcu tedy rzuca takie zdanie: „W walce z projektem należy skupić cały nacisk na wprowadzenie rozwodów. Należy postawić żądanie: państwo nie powinno dopuścić żadnych rozwodów, nawet dla małżeństw niekatolickich. Jeśli zasada nierozerwalności małżeństwa nie zostanie przyjęta dla wszystkich, to trudno obronić ją skutecznie dla katolików".

W tych ostatnich słowach ukryta jest zjadliwa ironja. Państwo, któreby chciało zabraniać niekatolikom korzystania z ustaw ich organizacyj kościelnych i narzucić im katolicki punkt widzenia, musiałoby stać się czemś w rodzaju wielkiej organizacji teologicznej i nanowo wszczynać sprawy, które już dawno zostały przedyskutowane. Rzecz osobliwa, że w sprawie tej ustawy zabierali dotychczas głos tylko księża, biskupi i arystokraci małopolscy. Stanowisko księży katolickich rozumiemy: chodzi im o utrzymanie się przy tym stopniu władzy, do jakiego doszli w ciągu lat niepodległości. Stanowisko to nie ma w sobie nic przekonywującego, bo każda instytucja broni swoich przywilejów. Jeszcze mniej przekonywa stanowisko arystokratów małopolskich. Ci pokazali, co potrafią, gdy byli wyłącznymi panami „Galicji i Lodomerji". Dbali o wiarę ludu i o jego zbawienie wieczne, ale nie dawali mu szkoły i nie pozwalali zwalczać alkoholizmu, bo prawo propinacji dawało im duże zyski. Nędza galicyjska, opisana przez Stanisława Szczepanowskiego, była ich dziełem, a zarazem była tłem dla ich pałaców i rezydencyj książęcych.

Teraz kolej na żywioły światłe: na prawników, lekarzy, działaczy społecznych, pisarzy. Dotychczas kler korzystał w walce z ustawą z prasy, z kazalnic, z radja i z tych specjalnych nastrojów mas ludowych, jakie wyhodował w tym ludzie ku własnej wygodzie. Teraz niech przez radjo i z trybuny publicznej przemówi uczony i obywatel. Boy - Żeleński napiętnował w „Wiadomościach Literackich" metody klerykalne. Warto przytoczyć jego słowa. Cytuje on końcowy urywek listu biskupiego:

„My, biskupi, zebrani w Częstochowie w październiku b. r., modliliśmy się przed cudownym ołtarzem Matki Boskiej, prosząc ją o pomoc, aby to zło zagrażające ojczyźnie naszej zostało usunięte. Do modlitwy i to ustawicznej wzywamy was wszystkich, kapłani i wierni kościoła świętego..., aby za wstawiennictwem najświętszej Marji Panny świętość i nierozerwalność sakramentu małżeństwa zachowane zostały. Matko, królowo korony naszej, błogosław twojej krainie, błogosław twoim dzieciom. Amen".

Po tej cytacie osobliwego nabożeństwa, Boy dodaje od siebie: „Kiedy to czytam, nasuwa mi się przypowieść z lat dawnych. Był swego czasu w Galicji słynny ksiądz Stojałowski, działacz ludowy, głęboki znawca psychologji naszego chłopa, niezwyciężony gracz na wiecach. Otóż w rozstrzygających momentach, kiedy nastrój zebrania był wątpliwy, miał on niezawodny sposób. Stawiając wniosek, poddawał go pod głosowanie tak: „Dzieci, kto jest za wnioskiem, ten klęknie tu ze mną i zaśpiewa: Serdeczna Matko. — I klękał. Któryż chłop, widząc, że ksiądz klęka, aby zaintonować: Serdeczna Matko, nie klęknie i nie zaśpiewa chórem? Odśpiewawszy, ksiądz Stojałowski wstawał z klęczek, rozglądał się po sali i mówił: Zatem, wniosek przeszedł". Tę demagogję, która nadużywa kościoła dla celów politycznych, piętnuje Boy i tak kończy: „I dlatego owe uroczyste modły o to, aby jedynym i wyłącznym sposobem rozstrzygania jednej z najważniejszych spraw życiowych pozostało nadal w Polsce szalbierstwo, świętokradztwo i symonja, robią wrażenie niesamowite..."

Jest to zastanawiające i niepokojące zarazem, że ten typ wstecznictwa, który już dawno wymarł w społeczeństwach kulturalnych, panoszy się w Polsce i rządzi się jak szara gęś. A jednocześnie żywioły światłe i twórcze, ulegając nałogom myślowym z wieku osiemnastego, spoglądają po sobie, wzruszają ramionami i milczą. Utarło się mniemanie, że katolicyzm a polskość to jedno, że kościół jest ostoją ładu i porządku i nikt jakoś nie chce pamiętać, że kościół katolicki tak łatwo przystosował się do zaborców, iż usty papieży potępiał powstania polskie, wychwalał zaborców i odznaczał ich wysokiemi orderami. Kiedyż Polska zrozumie, że czas najwyższy wydobyć się z tego tumanu, w którym

nikt nic nie bierze na własne barki i na własną odpowiedzialność, ale wszyscy bezustannie wsłuchują się, co powie Rzym. I niema dziś w całej Polsce człowieka, który poddałby krytyce samej zasady uroszczeń rzymskich, aby wykazać, że polegają one na szeregu legend i fikcyj. Tak niskiego poziomu kulturalnego, jak obecny, nie było w Polsce od czasu niesławnej pamięci Sasów i dlatego w chórze demagogicznych kłamstw głos rozsądnego jezuity wywiera wrażenie wezwania do opamiętania się. Cały świat ma cywilne ustawy małżeńskie, niejednemu z krajów, w których rozwody są uregulowane przez prawo państwowe, możemy zazdrościć poziomu moralności publicznej, a jednak święta demagogja wkółko powtarza słowa, z których każde jest świadomem kłamstwem i dlatego wzbudza wrażenia tak przykre.

T. GRUDA.

CHWILE I LUDZIE.

Jesteśmy świadkami wydarzeń, na które należy spojrzeć zbliska i zastanowić się nad niemi głęboko. W emigracji rosyjskiej, która z natury rzeczy jest wrogiem bolszewizmu i jego podstaw filozoficznych, dzieje się obecnie coś osobliwego. Że liczni emigranci, nie mogąc się doczekać upadku bolszewizmu, wracają do Rosji dla kawałka powszedniego chleba i jakiej takiej strzechy nad głową, to zrozumiałe, że ci nieszczęśliwi rozbitkowie życiowi udają przyjaciół nowego reżimu, to smutne, ale wytłumaczalne. Oportunizm słabych i zmęczonych jest zjawiskiem odwiecznem. Lecz oto w emigracji rosyjskiej rodzi się nowa sytuacja. Jak niegdyś społeczeństwo rosyjskie rozdzieliło się na bolszewików i niebolszewików, przyczem setki tysięcy niebolszewików poszło na tułaczkę, tak obecnie świat emigracji dzieli się podobnież na zwolenników starego porządku i na komunistów. Jest to nietyle rewolucja w łonie emigracji, ile ewolucja. Oto jeden z emigrantów, S. D. Mirskij, były oficer gwardji cesarskiej i profesor literatury w Londynie, pisze w jednym z miesięczników paryskich o tem, jak otrzymał zamówienie na życiorys Lenina, jak się zabrał do pracy i co z tego powstało. Lenina nienawidził, bolszewizmem gardził, ale gdy się zabrał do studjowania materjału biograficznego, stał się gorącym zwolennikiem komunizmu. Wszystko co poprzedziło jego nawrócenie się na materjalizm, uważa za „system fikcyj idealistycznych", o których wyraża się z pogardą. Zjawisko to jest godne poznania, ponieważ Mirscy nie są odosobnieni. J. H. Laski, uczony angielski, wygłosił w „Royal Institute of International Affairs" w Londynie odczyt o bolszewizmie, zajmując oczywiście stanowisko antybolszewickie, ale zarazem przekonywał swoich wytwornych słuchaczy, że jeśli wogóle ma być jakaś historja, która zasługiwałaby na miano nauki, to może nią być jedynie historja, oparta na materjalistycznem pojmowaniu dziejów. To znaczy ,że, zwalczając bolszewizm, przyjmuje za swoje jego podstawy naukowe. Takie zjawiska nie mogą być obojętne dla świata naszego. Tkwi w nich napomnienie i przestroga. Z myśli rodzą się czyny.

Pisma ewangelickie w Niemczech i we Francji zajmują się żywo osobą Fryderyka Heilera, który był ongi jezuitą, przeszedł na ewangelicyzm i stał się profesorem teologji ewangelickiej w Marburgu. Jest on, jak wiadomo, promotorem „katolicyzmu ewangelickiego". Rozkochany w mistyce liturgji katolickiej z jednej strony a w wolności ewangelickiej z drugiej strony, chciałby połączyć katolicką organizację i katolicki mistycyzm z ewangelicką wolnością badania. Na gruncie niemieckim jego usiłowania wydawały już tu i owdzie owoce. Powojennym trudnościom niemieckim i znużeniu społeczeństwa należy przypisać fakt, że w kołach ewangelickich rodziły się myśli zakonów ewangelickich, kultu eucharystycznego i t. p. W miarę, jak sytuacja polityczno-gospodarcza poprawiać się zaczęła, sprawy te przestały być aktualnemi, ale nie daje im zamilknąć Heiler. Sierpniowy numer czasopisma „Hochkirche" drukuje artykuł jego pióra na temat walki o „sukcesję apostolską". Autor artykułu pisze, że otrzymał święcenia biskupie, zapewniające mu sukcesję apostolską, a mianowicie wywodzącą się z antjocheńskiej katedry Piotrowej. Zdaniem jego sukcesja ta jest tak solidna, że ostoi się nawet wobec surowych wymagań rzymskiego prawa kościelnego. Niemieckie pisma ewangelickie uważają, że to, co obecnie robi Heiler, to już nie prywatne amatorstwo wybitnego erudyty, ale coś więcej. Nawet klerykalne „Augsburger Postzeitung" dochodzi do wniosku, że postępowanie Heilera staje się ciężkiem obciążeniem kościelno-politycznem i dogmatycznem dla kościoła ewangelickiego w Niemczech. Dla nas rzecz przedstawia się dość jasno jako ostry nawrot magizmu rzymskiego. Heiler nie zdołał się wyzwolić z pęt, które włożyło na jego duszę wychowanie rzymskie i dlatego potrzebny mu jest materjalny magizm rytuału. Sam fakt, że legitymuje się on surowemi wymaganiami kościelnego prawa rzymskiego, świadczy o jego skłonnościach do igraszek, z któremi powaga i uduchowienie ewangelicyzmu nie mogą mieć nic wspólnego.

Augustin Arenalès, pastor ewangelicki w Barcelonie, pisze w październikowym numerze

„Protestantische Rundschau" o nowej sytuacji ewangelicyzmu w Hiszpanji. Uważa on, że rewolucja hiszpańska, eliminująca z życia publicznego czynnik kościelny rzymsko-katolicki, stwarza wyjątkowo pomyślne warunki ewangelizacji narodu hiszpańskiego. Swój optymizm pastor Arenalés uzasadnia jak następuje:

Naród hiszpański dość już ma rozczarowań, jakie mu powodował katolicyzm. Teraz dopiero zobaczą wszyscy, że Hiszpanja, którą powszechnie uważano za klasycznie katolicką, wiedziała o katolicyzmie tylko to, co jej narzucały rządy całkowicie opanowane przez jezuitów. Świat przekona się zarazem, że masy oddzielając się od kościoła urzędowego ulegać będą najgłębszemu przekonaniu, iż kościół ten nie odpowiada ich zdrowej świadomości religijnej. Ale Hiszpanie nie będą porzucali katolicyzmu dla pozostania poza kościołem i wyznaniem chrześcijańskiem, lecz jako ludzie głęboko religijni pójdą za nauką Ewangelji, za religją Chrystusa, która odpowiada potrzebom ich serca i sumienia. Republika, biorąc przykład z postępowania narodów cywilizowanych, zapewni obywatelom swoim pełnię wolności religijnej. Odtąd ewangelicy hiszpańscy nie będą potrzebowali obawiać się szykan i prześladowań, jakiemi zatruwały im życie rządy królewskie i dyktatorskie. Pastor Arenalés jest przekonany, że rząd republikański pójdzie drogą całkowitej laicyzacji kraju i że niebawem dawną szkołę klerykalną zastąpi całkowicie szkoła zupełnie wolna od supremacji rzymskiej. Nastanie też spokój po szpitalach, w których ewangelicy byli stale napastowani i szykanowani dla swoich przekonań religijnych. Nie będzie już ograniczeń dla pracowników, którzy przy poszukiwaniu zajęcia bywali upośledzani, jeśli nie mogli się wylegitymować katolicką prawowiernością. Wskazując na tę nową sytuację, którą należy wyzyskać szybko i gruntownie, pastor Arenalés zwraca się do współwyznawców całego świata z prośbą o pomoc duchowną i materjalną.

Dnia 13 października 1931 czeski świat ewangelicki i kulturalny obchodził 150 rocznicę wydania przez Józefa II tak zwanego patentu tolerancyjnego. Od upadku powstania przeciwko Habsburgom i przegranej bitwy na Białej Górze, to jest od roku 1620 aż do roku 1781, czyli przez lat sto sześćdziesiąt, na ziemiach czeskich szalała reakcja katolicka. Trzy czwarte ziemi królestwa czeskiego Ferdynad II porozdawał różnym swoim kreaturom, na staromiejskim rynku zginęli z ręki kata najszlachetniejsi synowie narodu czeskiego i przywódcy ewangelików, a dziesiątki tysięcy rodzin czeskich porzuciwszy mienie, z Biblją pod pachą, ruszyło na tułaczkę w obcy świat. Na biednych ewangelików, którzy musieli pozostać w kraju, rzucili się jezuici i „nawracali" ich na „jedyną prawdziwą wiarę" w sposób dziki i bestjalski. Dręczono ludzi dragonadami znęcano się nad nimi wyrafinowanemi torturami. Tysiącami niszczono książki czeskie jako kacerskie. Historycy powiadają, że pastwą gorliwości jezuickiej padło nieobliczalne wprost mnóstwo książek nietylko ewangelickich. U kogo znajdowano Biblję, śpiewnik, pisma pisarzy ewangelickich, ten stawał się przedmiotem prześladowań ze strony kleru świeckiego i zakonnego. Aż dziw, że te straszne prześladowania nie zdołały wytępić ewangelików w Czechach. Gdy 13 października 1781 roku wyszedł patent tolerancyjny, ewangelicy byli tak zahukani terrorem jezuickim, że nie dowierzali swemu szczęściu i bali się ujawnić swoje przekonania. Spoglądamy wstecz i jeszcze raz widzimy całą bezskuteczność metod rzymskich. Dzisiaj w Czechach panuje zupełna wolność religijna, główne kościoły ewangelickie liczą po kilkaset tysięcy wyznawców, powstał tam kościół narodowo-katolicki, a wielkie rzesze robotników odpadają od kościoła rzymskiego przy każdej sposobności. Zaś z pośród katolików, którzy biernie trwają przy kościele katolickim zaledwie 4 — 5% staje przygodnie w obronie interesów kościelnych. Dopóki było ramię świeckie na usługi rzymskie, było wszystko, dzisiaj, gdy trzeba liczyć tylko na siebie, w całej pełni ujawnia się wysoka przewaga moralna kościoła ewangelickiego i jego zasady.

Zgon ś. p. Sławomira Czerwińskiego i dziwna sprawa jego „nawrócenia" na łożu śmiertelnem, budzi zainteresowanie w ewangelickich kołach zagranicznych. Przykro jest czytać notatki i artykuliki, w których przy każdej sposobności wskazuje się na Polskę jako na kraj pozbawiony elementarnej tolerancji religijnej. Liczyliśmy zawsze na to, że jako ewangelicy polscy będziemy mogli oddziaływać na ewangelickie środowiska całego świata i że staniemy się ważkim czynnikiem propagandy na rzecz Polski. Niestety, kler rzymski i metody jego nawracań zamykają nam usta. Jest to tem boleśniejsze, że świat ewangelicki, osobliwie Ameryka i Anglja, w których przy zasadach demokratycznych tak wielką rolę odgrywa czynnik religijny, mógłby wpływami swemi bardzo wydatnie pomagać nam na widowni polityki międzynarodowej. Niestety, narody te wartość społeczeństw mierzą stopniem wolności sumienia i tolerancji. Za wybryki niepoczytalnych fanatyków płaci całe społeczeństwo, nie umiejące nakazać poszanowania dla swoich interesów narodowych i państwowych.

W PRACY SZCZĘŚCIE, ALE WTEDY TYLKO, GDY TA PRACA Z MIŁOŚCI POCHODZI.

(W. Dzieduszycki).

W. TARCZA.

PATRJOTYZM.

Kocham moją rodzinę — Ojczyznę więcej niż rodzinę, bo tej poświęcam swoich synów, lecz nad rodzinę i nad Ojczyznę winienem miłować ludzkość! Tak! niech się to nie wydaje paradoksem, ale o ile nie dojdziemy do tej doskonałości duchowej, będziemy zawsze karłami w pojęciu prawdziwej etyki i rzetelnego chrześcijaństwa.

Właściwie, co to jest patrjotyzm? Umiłowanie ziemi, w której się urodziłem, umiłowanie tradycyj historycznych, z któremi się zrosłem, umiłowanie obyczai, zwyczai, a nawet wad narodowych. Patrjotyzm — to cecha kultury, oświaty i cnoty obywatelskiej. Polska odznaczała się zawsze zarówno bohaterskiem rycerstwem, jak i wielkim patrjotyzmem. Ale, czy cała Polska? Oczywiście nie! Chłop polski do czasu wojny światowej, z małemi wyjątkami, nie był zupełnie patrjotycznie usposobiony, czego najlepszym dowodem było powstanie 1863 roku. Za broń chwyciła szlachta, mieszczaństwo, klasa rzemieślnicza, oficjaliści, robotnicy wreszcie; ale włościanin polski był neutralny, a częstokroć nawet był wrogiem powstańców. Miejmy nadzieję, że z oświatą w zmartwychwstałej Ojczyźnie stosunki się zmienią, ale do roku 1914 chłop polski wyznawał zasadę, że gdzie chleb — tam ojczyzna, i całemi masami wędrował do Ameryki, gdzie się zupełnie ekspatrjował, albo szedł na roboty do Niemiec czy Francji, skąd powracał zdemoralizowany.

Śmieszne jest i niemądre takie twierdzenie, że religja musi się łączyć z narodowością i patrjotyzmem. Mamy realne zaprzeczenia temu dowody, że w czasie np. okupacji niemieckiej cała ludność fabryczna Łodzi z ich szefami na czele była wrogo usposobiona do okupantów, a była to ludność w znacznej mierze wyznania luterskiego.

Znaną jest rzeczą, że wśród ewangelików było i jest bardzo wielu szczerych i gorących patrjotów polskich, tak samo jak i nie jeden żyd wiernym był synem polskiej Ojczyzny swojej. A wiek XVI? Cała elita rodowa i umysłowa należała do wyznania ewangelickiego. Było 1000 Zborów kalwińskich i Polska była wówczas w kwitnącym stanie. Wina to nie do darowania, że jednostki, stojące na czele Reformacji w Polsce, nie pociągnęły za sobą ludności włościańskiej, która jako konserwatywna byłaby się stała stanowczo opoką czystej wiary i obroniła naród od upadku moralnego, który go następnie oddał w ohydną niewolę.

Oby ten przykład z dziejów naszych otrzeźwił nas i oświecił w fałszywych zapatrywaniach.

To nie jest szlachetny patrjotyzm — prześladowanie i szykanowanie inowierców jako niepolaków, to ciemnota, złośliwość i przewrotność.

Wszyscy jesteśmy dziećmi jednej ukochanej Matki — Ojczyzny! Tylko wspólna praca o jej dobrobyt materjalny, o wyższy rozwój umysłowy, o zgodę i miłość w narodzie — to jest prawdziwa miłość tej Ojczyzny, szlachetny i zaszczytny patrjotyzm.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Ostatnie chwile arcybiskupa Natana Söderbloma.

Od naocznego świadka ostatnich chwil arc. N. Soederbloma otrzymał Ew.-Pol. niniejsze słowa.

Uppsala w lipcu 31

Kiedy dzwony w niedzielę dn. 12 lipca biły na nieszpory, byliśmy zebrani przy łożu umierającego arcybiskupa. Widocznem było, że cierpi On bardzo, nie słyszeliśmy jednak z ust Jego ani jęku, ani skargi. Widzieliśmy tę niepojętą siłę ducha, mocą której opanował On cierpienie.

Zaczął mówić o łasce służenia Bogu, dziękował Panu, że dał mu możność zostania duchownym kościoła Szwecji. Wspomniał słowa, któremi chętnie pozdrawiał swych współpracowników, a które teraz miały być jego ostatniem na tym świecie pozdrowieniem:

„Nie jesteśmy panami nad wiarą waszą, lecz jesteśmy współuczestnikami radości waszej" (2 Kor. 1, 24).

Następnie pełen nadziei począł się gorąco modlić słowami starego psalmu: „Daj mi poznać, Panie, dokończenie moje i wymiar dni moich jaki jest (39,5); Imię Twoje, o Boże, niech będzie pochwalone".

Poczem żegnał się z nami, dziękował serdecznie i ściskał ręce nasze. Czuliśmy, że niepokój mija, — wieczność była blisko nas. Prosił, aby z nim razem zmówić Modlitwę Pańską.

Potem mówił łaskawie o nieśmiertelności i życiu wiecznem. Zapewniał nas znów o cudzie i prawdzie życia wiecznego. Gdy cierpienia Jego się wzmagały, wznosił wzrok swój na cierpiącego Zbawiciela i słyszeliśmy, jak powtarzał słowa, któremi zakończyliśmy dnia tego wieczorne nabożeństwo:

„Dziękuję Ci serce moje, o Jezu, usłysz nędzę wielu".

Walka z życiem dobiegała końca; — zaledwie słyszeliśmy pojedyńcze słowa szeptane jego ustami. Zmęczone cierpieniem oblicze Jego jakby przejaśniało — dosłyszeliśmy słowa:

„Teraz to już wieczność".

Po tych słowach zgasł.

Odprawiliśmy uroczyste nabożeństwo, dziękując Bogu za Jego objawienie się w życiu tego człowieka, przez wiarę i miłość, które to w testamencie swym pasterz ten i Ojciec nam pozostawił. Niechaj będzie pochwalony Bóg, który dał mu zwycięstwo przez Jezusa Chrystusa.

Ew. Pol.

***

CZECHOSŁOWACJA. Walka z nuncjuszem.

Ks. Szauda, profesor fakultetu teologicznego uniwersytetu w Pradze, został z powodu udziału w walce z nuncjuszem praskim, wywołanej usunięciem arcyb. Kordacza, pozbawiony godności kapłańskiej i prawa wykładania na fakultecie.

Ew. Pol.

***

BELGJA. Kościół ewangelicki.

W Liège położono kamień węgielny pod budowę nowego kościoła ewangelickiego. Rada miejska ofiarowała na budowę 2 miljony franków.

Ew. Pol.

***

SIEDMIOGRÓD. Pomysłowa ofiara.

Zbór ewangelicki w Brasowie (Kronstadt) jednogłośnie postanowił zrzec się przez 4 dni w roku używania alkoholu i tytoniu a zaoszczędzoną w ten sposób kwotę przekazać na cele kościoła. Zarząd kościoła podał podobną propozycję i innym zborom. Ew. Pol.

***

CZECHOSŁOWACJA. Kwesta jubileuszowa.

Na pamiątkę wydania patentu tolerancyjnego w r. 1781 urządzono w Czechosłowacji kwestę, której fundusz ma być przeznaczony na budowę nowych domów modlitwy i domów zborowych. Dotychczas zebrano 1.127.000 kc, w tem 20.000 kc jako dar prezydenta Masaryka. Ew. Pol.

OFIARY.

Na wydawnictwo „Jednoty".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. W-ny p. Włodzimierz Malinowski — Warszawa Zł. 4.00
2. W-na p. Iza Strzelbicka — Warszawa. . . . „ 0.50
3. W-na p. Anna Mende — Skierniewice . . „ 3.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc styczeń 1932 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Piątek, dn. 1.I. (Nowy Rok) z Komunją Ś-tą o godzinie **10 rano**. . . . . — Ks. J. Jelen.
2. Niedziela, dn. 3.I. (N. po N. R.) . . . . . — Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dn. 10.I. (I N. po Objaw. P.) . . . . . — Ks. J. Jelen.
4. Niedziela, dn. 17.I. (II N. po Objaw. P.) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . — Ks. St. Skierski.
5. Niedziela, dn. 24.I. (N. Starozapustna) . . . . . — Ks. J. Jelen.
6. Niedziela, dn. 31.I. (N. Mięsopustna) . . . . . — Ks. płk. K. Szefer.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 4, 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Główna Drukarnia Wojskowa Warszawa, Przejazd 10.